

Bogusław Więski

Magranie: Janina Wołczuk

Wykorzystanie do tematu: Ziemia Lidzka...

I/867

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Bogusław Więski, urodzony 4 października 1928 roku w Bielicy nad Niemnem. Rodzina Więskich pochodzi spod Lidy, dziadkowie mieli tam gospodarstwo z dżudą pradziada, sienią ta tam pozostała. Rodzina Więskich była polska, ale nazwisko nasze nie było zbyt rozpowszechnione, co świadczyłoby o tym, że rodzina akurat musiała przywędrować. Ale mój dom rodzinny był tradycyjnie polski, bardzo patriotyczny i katolicki.

Z Bielicy nie byłem związany, kiedy miałem około dwóch lat rodzice przenieśli się z Bielicy do Ejszyszek. Wychowywałem się więc w Ejszyszkach, tam też zacząłem chodzić do szkoły. Spośród nauczycieli pamiętam panią Pokrzywą - naszą pierwszą wychowawczynię; dyrektorem był pan Gurak; był jeszcze pan Sawras - prowadził w-f. W szkole było trochę dzieci żydowskich, ale przeważającą większość stanowiły dzieci polskie - z Ejszyszek i okolic. Ejszyski miały około 7 000 mieszkańców, w tym bardzo dużo Żydów. Niemcy rozstrzelali w Ejszyszkach około 3 000 Żydów.

W Ejszyszkach mówiono po polsku. Nie słyszało się nawet tzw. mówienia "po prostu", co było charakterystyczne na wsi. Na pewno był tu wpływ Wilna, ale Ejszyski same w sobie były polskie.

Rodzina nasza była patriotyczna. W moim pokoiku był mały portret Marszałka. Jak tylko wyszła książka "Mały Ziuk", to natychmiast dostałem ją na Cwiadkę. W domu był kult Marszałka, w domu było nawet popiersie Marszałka - stało w gabinecie ojca. Tradycje niepodległościowe, patriotyczne dziedziczyła moja matka - dwaj jej dziadkowie walczyli w powstaniu styczniowym, obaj byli wywiezieni, ale tylko jeden powrócił. Po powstaniu skonfiskowano im ziemię i w ten sposób urwała się ich więź z rolą.

Jeden z moich byłych nauczycieli - pan Sawras - mieszkał po wojnie w Gdańsku. Pan Mikołaj Sawras był kolegą mojego stryjka. Razem z moim stryjkiem uciekli w czasie wojny przez zieloną granicę i w ten sposób znaleźli się w Polsce.

Kiedy rozpoczęła się wojna i Ejszyski przeszły pod władanie Litwinów, rodzina nasza została szybko przez Litwinów wyrzucona stamtąd /ojciec mój był pracownikiem urzędu gminy i mieszkaliśmy w służbowym mieszkaniu/. Dokładnie sprawdzano przy naszej przeprowadzce, czy nie zabieramy przypadkiem czegoś, co do nas nie należy. Rodzice mieli kupione centrum majątku Stare Rakliszki, mieliśmy zatem dokąd pójść. Tam było 50 ha ziemi, około 14 ha lasu, 2 domy i inne zabudowania. Wojnę przeżyliśmy w Rakliszkach.

Bogusław Więski c.d.

Wokół naszych zabudowań były rozrzucone tzw. kolonie, skąd dzieci przychodziły do swojego ojca "na naukę". Można by to nazwać czymś w rodzaju kompletów.

Rakliszki były nad rzeką Solcżą, około 60 km od Wilna. Były więc pod administracją litewką, na samym skraju Puszczy Rudnickiej. Do czasu przyjęcia Niemców w 1941 roku spośród naszych znajomych, z naszego otoczenia Rosjanie nikogo nie wywiezli. Być może miało tu pewne znaczenie to, że to była jednak Republika Litewska.

Ponownie Rosjanie przyszli do nas w 1944 roku. Kiedy powstało po wojnie polskie gimnazjum w Wilnie, poszedłem do tego gimnazjum. Ojciec mój prowadził szkołę dla okolicznych dzieci w zakresie klas 1-3. Szkoła ta mieściła się w naszym domu. Oficjalnie ojciec przysnawał się wtedy do posiadania 5 ha ziemi - i tyle uprawialiśmy sami, własnoręcznie. Mając 11 lat musiałem już orać, bronować i wykonywać różne inne prace. W Nowych Rakliszkach był sowchoz. Rakliszki należały wtedy administracyjnie do Nowych Soleczank, a nie do Byszyszek. Sprawy rolne na Litwie wyglądały trochę inaczej niż na Białorusi.

Z pobytu w gimnazjum wileńskim przypominają się niektóre problemy bytowe: skąd dostać buty? Początkowo chodziłem w jakichś butach wojskowych, ale potem trzeba było zrobić tzw. kłumpe - buty na drewnianych podszewkach. Ubranie miałem z sanodziału, potem przesyłało się coś z ojca. Początkowo mieszkalem u kuzyna w Wilnie, na ulicy Witoldowej, gdzieś za Wilią, ale po wyjeździe kuzyna do Polski zmieniłem mieszkanie. Nasza rodzina też była zapisana na wyjazd, ale mama się sprzeciwiała, kałowała lasu /że go nam wytną/ - i tak zostaliśmy.

Z Rakliszek, a naszej okolicy chyba nikt nie wyjechał do Polski. Początkowo ludzie byli zapisani na wyjazd, a potem zrezygnowali. Ludzie jeszcze przez cały czas czekali, że może Polska wróci na te tereny. A potem, kiedy dowiedzieli się, że w Polsce takie same rządy jak w Rosji, ludzie woleli siedzieć przynajmniej na swoim.

Przed wojną w 1939 roku zacząłem 5 klasę. Podczas okupacji niemieckiej ukrywało się u nas małżeństwo żydowskie /?/. Pan był nauczycielem. Cała nasza rodzina uczyła się przy nim angielskiego. Był nawet wyznaczony jeden dzień w tygodniu, kiedy nie można było mówić po polsku, tylko po angielsku. Edukowałem się zatem trochę w domu. Kiedy więc otworzyli w 1944 roku polskie gimnazjum w Wilnie, pojechałem tam. Wstąpiłem do III klasy. Później otworzyli polską szkołę w Byszyskach - początkowo o nazwie progimnazjum z polskim językiem wykładowym, a potem przemieniono to na 10-cioletkę. Uczyłem się tam systemem popołudniowym, wieczorowym.

Bogusław Wiąski c.d.

Deportacja: tego dnia wróciłem około godziny 10-ej wieczorem z poczty. Około północy zastukali do drzwi: ma się zebrać, wziąć dokumenty. Zabrali mnie, zaprowadzili na ulicę, zamknęli w areszcie tymczasowym i - nic niewiadomo. Na drugi dzień przychodzą do mnie koledzy klasowi. Pytam, jak ich paścili. A w naszej szkole nauczanie przestało już być polskie, stało się litewko-rosyjskie. Był więc w naszej klasie syn jakiegoś wojskowego rosyjskiego, który miał powiązania z KGB - i ten chłopak wprowadził kolegów. Uspokoił mnie, żeby się nie bał, że to tylko "was wywożą" i rodzice moi są już na placu. Po południu przyszedł po mnie uzbrojony funkcjonariusz i kazał iść przodem. Znałem go i powiedziałem, żeby się nie wygłupiał. Ale on mnie urzędowo prowadził przez Jurysdykę na plac targowy /około kilometra drogi/. Gdy mnie tak prowadził, to znajomi wychodzili z domów, śgnali mnie, płakali. Przeprowadził mnie na plac, a tam już rodzice byli ze swoimi węzełkami /rodziców zabrali 25-go z rana/. Nikomu nie mówili, dokąd i po co zabierają. Później zaczęli dowozić ludzi, których zatrzymali wcześniej. Z tego placu zabrali nas na samochody, zawieźli do Oran. W Oranach stał już przygotowany pociąg - i do wagonów. Wśród wywożonych byli też Litwini. Po przyjeździe na miejsce przewodniczący kolchozu zażyczył sobie samych Polaków - nie chciał Litwinów /a było ich chyba z 10-15 rodzin/. Litwini zostali w tartaku w Tajturce.

W Oranach były towarowe wagony, po bokach były porobione nary, pośrodku stał żelazny piecyk - i to wszystko. Okienka małe, z metalowymi klapami, ale klapy te były podniesione i przymocowane do dachu drutem kolczastym; okienka były przesakłone. Transport miał około 50 wagonów. W naszym wagonie było około 5 rodzin /nasz wagon był mały/. Były też duże wagony... w transporcie na pewno było z 1000 osób.

/W wojsku radzieckim nie służyłem z powodu wzroku/. Nie mieliśmy po wojnie żadnych radzieckich dokumentów. Pierwszy jakiś dokument dostałem wtedy, jak mnie wezwali na komisję wojskową. Moim dokumentem była metryka pisana ręcznie przez księdza w Bielicy. Nie mieliśmy żadnych dokumentów, gdzie byłoby określone nasze obywatelstwo.

Kiedy przywieźli nas do Tajturki, wystąpił funkcjonariusz KGB i powiedział, że jesteśmy tutaj przywiezieni na wieczne osiedlenie i "tu pozostaniecie". Nie wolno nam nigdzie przemieszczać się bez zezwolenia. Początkowo musieliśmy codziennie meldować się u niego i podpisać listę, potem - raz na tydzień. Była jeszcze funkcja "diesiatnika" /osoba spośród nas/, który odpowiadał

Bogusław Więski c.d.

za grupę.

Kiedy wywołano rodziców /zabierano z Rakliszek/ to pozwolono im zabrać ze sobą 50 pudów bagażu. Jeden z żołnierzy doradzał, żeby zabierać wszystko, przede wszystkim rzeczy ciepłe i jedzenie, bo nikt nie wie, co nas czeka. Był w domu patefon, poradzili nam, żebyśmy zabierali i ten patefon. Rodzice mieli obiekcje: po co patefon z płytami. Ale usłyszeli, że można to będzie sprzedać i zamienić na kawałek chleba. I rzeczywiście, to była dobra rada. Przed wojną mieliśmy w domu radio, to było jedno z pierwszych radio lampowe. Ale potem, w czasie wojny radio to było skonfiskowane. A po wojnie jeszcze nie dorobiliśmy się radia /przed deportacją/. Zarobki moje nie były duże - rodzice nas utrzymywali. Rowery z czasów przedwojennych rodzice zamienili na konia. Ale miałem już nowy rower - jeszcze Kamińskiego. Miałem też motor - kupiony z demobilu. Ale motoru nie pozwolono mi zabrać podczas wywózki - że to niby motor wojskowy - i nie można.

Rodzice zostawili swój dobytek - zabudowania, konia, krowy, cielęta i inny inwentarz. Ale przy wyjeździe pozwolili jeszcze rodzicom zabić świnie, żeby było mięso na drogę. Nasz dobytek szaładowali na 25 furzanek i powieźli do gminy. Nam pozwolili zabrać pościel i inne rzeczy. Nie pozwolili zabrać nic z książek, a ojciec miał ładną bibliotekę.

Łoźchoz, do którego trafiliśmy, miał chyba ze 14 tysięcy ha ziemi do obrobienia i chyba ze 100 mieszkańców, z czego do pracy było dużo mniej. Polacy byli więc potrzebana siłą roboczą. Zaczęli więc pracować na fermach hodowlanych. Po pierwszym roku pracy wypłacono po 300 gram zboża za dzień pracy /trudodzień/. Miejscowa ludność to byli rdzenni Sybiryacy. Różnili się oni od Rosjan na pływowych, byli szczyliwsi w stosunku do Polaków. Przyjechaliśmy jakoś w okresie Wielkanocnym i wtedy Sybiryacy zaprosili nas do siebie jako pierwsi. Starsi obchodzili jeszcze święta Wielkanocne, a młodzi traktowali to jako okazję może do lepszego jedzenia czegoś.

Zamieszkaliśmy w takiej sybirskiej chacie /dwiubowej - z rodziną Ilcewiczów/, za wysokim płotem. Wichura przedtem zerwała z tej chaty dach. Nasz pokój był dość duży i miał pełno okien. Zrobiliśmy sobie jakieś nary do spania, przez jeden dzień odpoczęliśmy - i do roboty: mieliśmy zbierać na polu perz. Potem zaczęły się siewy, bo była wiosna. Moja pierwszy praca: musiałem jako para z dziewczyną Rosjanką siąść w nocy na siewniku traktorowym. To było okropne. Później już byłem pomocnikiem traktorzysty - orałem. W Bureci było nas-Polaków około 40 osób. Byli wśród nas i

Bogusław Więski c.d.

W Wilnie w gimnazjum uczyli początkowo nauczyciele przedwojenni, a potem nauczyciele zaczęli już wyjeżdżać - to był rok 1945. Od samego początku, zresztą, języka litewskiego czy historii uczyli nie-Polacy. Języków było bardzo dużo: polski, rosyjski, litewski, niemiecki i łacina. W szkole obchodzono święta państwa. W rocznicę Rewolucji Październikowej była defilada w Wilnie i akurat, kiedy szło nasze gimnazjum, to wtedy zagrali marsz "Pożegnanie Słowianki" czyli "Rozszumiały się wierzby płaczące..." To był tylko taki epizod z tej defilady. Pamiętam też zakończenie wojny /bo nauka w szkole zaczęła się jeszcze w 1944 roku/ - młodzież zebrała się wtedy na Placu Katedralnym...

W gimnazjum w Wilnie wyczuwało się starania o to, by to było gimnazjum apolityczne /nie pamiętam entuzjazmu z powodu "Wiązki Patriotów Polskich/. Ta szkoła może starała się kontynuować tradycje gimnazjum przedwojennego - to było gimnazjum za Ostrą Bramą - w stronę dworca, stary gmach.

W 1945 roku wróciłem do Byszczek. Poeta podjąłem pracę - byłem zastępcą naczelnika poczty. Pracowałem i uczyłem się. W 1949 roku zostaliśmy wywiezieni... W Byszczkach nie zdążyłem skończyć szkoły. Potem już w Rosji uzyskałem możliwość przeniesienia się z kołchozu do miasta Tajturki, ponieważ napisałem do władz, że chcę skończyć szkołę. Tej młodzieży, która w trakcie deportacji przerwała naukę, pozwolono uczyć się dalej. Ale to była nauka w szkole wieczorowej - w dzień trzeba było pracować w tartaku.

Deportacja w 1949 roku nie była niespodzianką. Zaraz po wojnie był okres jakiegoś względnie spokoju. Ale potem znów atmosfera się zmieniała - zaczęli wracać Polacy z Armii Andersa i ich zaczęli wyłapywać i wywozić. Zaczęła się kolektywizacja, a więc zaczęto rozprawiać się z tymi bogatszymi. Były też przecież resztki AK - "zieloni", ludzie ukrywali się w lesie i usiłowali jakoś przetrwać - musieli zdobywać prowiant...

Nas zabrali może również i dlatego, że mieszkaliśmy na skraju Puszczy Rudnickiej. Wszystkich zamożniejszych ludzi z tamtego pasa wywieźli. Później, kiedy spotkaliśmy się w transporcie, okazało się, że wywożą wszystkich z tych małych mająteczków, z zaścianków. Byli pp. Nowokumscy z Nowokumców, Ilcewicze z Ilcewic, Pietkiewicz. Okazało się, że było też sporo i biedniejszych ludzi. Wywożono też i rodziny tych, którzy nie wrócili z Zachodu. Ale najwięcej było "kułaków".

Bogusław Więski c.d.

ludzie starsi? pan I₁cewicz był już chyba po 60-tce, moi rodzice byli koło 50-tki. Moja mama poszła do pracy chyba przez dwa dni-poten bolały ją nogi i nie mogła chodzić do pracy. Żyliśmy początkowo ze świeżych zapasów, a potem trzeba było wypisywać różne produkty awarsen /chleb, który wypiekał kołchoz; ziemniaki, mleko dla małych dzieci; jesienią był miód, bo kołchoz miał swoją pasiekę; mięsa to tam nie było/. Produkty te utrzymywało się w ramach zapłaty za przyszłe "trudodni".

II strona

W naszym małym kolektywie Polaków był pan Iwaszkiewicz, który miał trochę wykształcenia teologicznego /w swoim czasie przygotowywał się do kapłaństwa/ i on właśnie prowadził nabożeństwa majowe. Była też jedna starsza pani, która też umiała prowadzić modlitwę. W tym kołchozie byli przecież Polacy, którzy znali się sprzed deportacji, wszyscy przecież byli z okolic Łeszyszek. Mojego ojca wszyscy znali z czasów, kiedy pracował w gainie. Był ze mną też kolega ze szkoły - Heniek Iwaszkiewicz.

Niektórzy ludzie mieli książeczki do nabożeństwa. Przecież ta wywózka w 1949 roku różniła się formą od tych wywozek z czasów wojny.

Nasz księgozbiór z książek przywieźli i wcielili do biblioteki w Łeszyszkach /a że połowę tego księgozbioru rozkradli, to już inna sprawa/, ojciec miał żadną bibliotekę - parę tysięcy książek.

Na nabożeństwa majowe przychodzili poprzec ^a i posłuchać Rosjanie, byli ciekawi, jak to Polacy się modlą. Nie było żadnych zakazów gromadzenia się na modlitwę. Nie było też jakiejś urzędowej indoktrynacji, żadnego upolityczniania. Był jednak przypadek, że jednego młodego człowieka spośród naszych, który wykazywał głośno swoje niezadowolone, aresztowano. Mnie już wtedy w kołchozie nie było.

Spośród nas - Polaków nie powoływano nikogo do wojska. Byliśmy przecież elementem politycznie "opasnym", a poza tym, kołchoz był zainteresowany tym, żeby mieć jak najwięcej młodziaków u siebie do pracy. Kilku naszych chłopaków zostało wysłanych na kursy dla traktorzystów i pracowali potem na traktorach. Byli oni już swobodną arystokracją kołchozową, dobrze zarabiali. Właśnie pan Iwaszkiewicz, który miał czterech synów, był jak na tamte warunki człowiekiem bogatym. Daj jego synowie byli pracownikami MTS - dostawali wynagrodzenie w pieniądzu. Iwaszkiewicz przywieźli do Polski chyba ze dwie tony pszenicy /wieźli, bo mówiono, że w Polsce jest głód/.

Bogusław Więski c.d.

Były wśród nas chyba ze dwie rodziny, w których były małe dzieci - i te rodziny były na granicy nędzy.

Nasza rodzina potem z kolchozu przeniosła się do miasta - do Tajturki. W Tajturce pracowało się już za pieniądze, a jak były pieniądze, to już można było coś kupić - nawet te walonki czy kufajki. A w kolchozie nie bardzo można było coś kupić.

Nie było właściwie małżeństw mieszanych Polaków z Rosjankami. Jeden z Polaków miał nieślubną /chyba/ żonę, ale kiedy wyjeżdżał do Polski, to ona tam została - nie przywiózł jej ze sobą. A Rosjanki chętnie by powychodziły za Polaków...

W Bureti zmarł nasz sąsiad - pan I, cswicz, jedna starsza pani, jeden chłopak i jedno dziecko. Zostały tam cztery polskie groby, z krzyżami. Duchownych tam nie było, ani katolickich, ani prawosławnych. Cerkiew najbliższa była być może aż w Irkuoku.

Kiedy zmarł Stalin, to byłem wówczas słuchaczem w szkole felczerskiej. Zajęć wtedy nie było. Wszyscy byliśmy zgromadzeni w jednej sali, były głośniki. Pamiętam Marzę Salobny Chopina. Jestem wrażliwy na muzykę i ten nastrój przygnębienia udzielił się i mnie.

W szkole byłem przez cały okres starostą grupy /wszyscy wiedzieli, że jestem Polakiem, ale to mi nie przeszkadzało/. Skończyłem szkołę z czerwonym dyplomem. W szkole felczerskiej byłem jedynym Polakiem. Tam były osoby z nazwiskami polskimi, ale ludzie ci nawet nie zdawali sobie sprawy, że mają polskie nazwiska.

Miałem kolegę, który podczas deportacji rodziców uciekł. Jego ojciec był razem z nami. Chłopca tego potem śladali i za karę wysłali do Bodajbo - do kopalni złota. A to był chłopak w moim wieku. W tej kopalni przepracował chyba rok, a potem dzięki staraniom ojca przyjechał do nas. To był Henryk Boład. On też miał przerwane szkole z powodu deportacji. Poszedł więc do technikum. Kontaktowaliśmy się z nim w Irkuoku. Chyba nikt więcej z Polaków nie uczył się. Moja siostra robiła tam naturę /wiesz-rowską/, zdawała na studia medyczne, ale nie została przyjęta. Młodzież polska nie miała tam ambicji, żeby się uczyć. W Tajturce spotkałem jedną Litwinę, która potem poszła na studia, bo potem już można było się uczyć. Co prawda, zania ja dostałem pozwolenie na pójście do szkoły, to chodziłem do komendanta chyba przez dwa miesiące i dopytywałem się, czy już jest pozwolenie. Cały czas podlegaliśmy pod resort KGB i od nich zależało, czy pozwolą na coś, czy nie.

Bogusław Więski c.d.

Nie było wśród Polaków jakiejś próby organizowania się, nie było osoby, która wzięłaby na siebie rolę przywódcy tej polskiej grupy. Prawdopodobnie nie było takiej potrzeby, bo nie czuliśmy się zagrożeni w swojej tożsamości. Dzieci chodziły do szkoły rosyjskiej, ale w domu wszyscy mówili po polsku. W domu też chyba wszyscy uczyli dzieci polskiego. Mój ojciec początkowo próbował zorganizować coś polskiego, ale nie było to mile widziane.

Nasza cała rodzina była w Polsce /mojej mamy brat i siostra/. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, gdzie oni są. Początkowo pisaliśmy do ambasady polskiej w Moskwie, żeby dowiedzieć się o naszych krewnych w Polsce. Ambasada odpisała, że jesteśmy obywatelami ZSRR, i nie nam nie mogą pomóc. Później skontaktowaliśmy się z mamy bratem, który mieszkał koło Szczecina. Od niego otrzymaliśmy zaproszenie /"wyzow"/ - na stały pobyt do Polski. Ale o wyjeździe wtedy nie było mowy. Dopiero po śmierci Stalina, w 1953-54 roku pisaliśmy jeszcze raz w tej sprawie. Znowu odpowiedź była negatywna. Potem pojawiły się słuchy, że może będzie możliwość wyjazdu. Oczywiście, nikt nie mówił o repatriacji grupowej. Ale już w 1955 r zaczęto mówić o repatriacji. Poeta zaczęto zapisywać chętnych do wyjazdu do Polski. Trzeba było jednak udokumentować, że przed 1939 rokiem mieszkało się na ziemiach II Rzeczypospolitej i było się obywatelem polskim. Dlatego Litwini, którzy mieszkali przed wojną na Litwie, nie mogli wyjechać. A Litwini, którzy mieszkali na terenach II Rzeczypospolitej - wyjechali do Polski! Jechali wtedy z nami do Polski niektóre rodziny litewskie, w których nie znano ani jednego słowa po polsku. Z tego naszego kołchozu w Bureti wrócili do Polski wszyscy. Chyba nikt nie został w Rosji. Procedura była taka, że trzeba było zapisać się i czekać na transport. Nie wszyscy wyjechali pierwszym transportem. Mnie się udało, bo pracowałem w prewentorium z Sona funkcyjnariusza z KGB. Dostałem zaświadczenie /i Staszek Boład też/, na mocy którego mogłem się dołączyć do transportu rodziców. Wyjechałem więc po znajomości, ponieważ mogło się zdarzyć, że rodzice wyjechaliby, a ja zostałbym na później sam.

W Rosji pewnie nauczyliśmy się trochę gorszych rzeczy: kombinowania, oszukiwania, bo tam przyzwyczajano nas, że bez tego nic się nie da. Praca też była często pozorowana. Z lepszych rzeczy: solidarności narodowej, cenięcia języka.

Do Rosji i Rosjan mam jednoznaczny stosunek. Do Sybiraków - tych rdzennych czuję szacunek, bo oni są inni niż ci napływowi Rosjanie. Sybiracy są serdeczni, tyczliwi, szczerzy. Nie traktowali nas jako zesłanych przestępców.

Dogusław Więski c.d.

Z naszej rodziny - siostra miała okres pobytu na Syberii trochę stracony. Po przyjeździe do Polski nie mogła już podjąć studiów. Nie nadrobiła tego czasu. Młodszy brat zrobił maturę już w Polsce, w pierwszym roku po naszym powrocie. Potem skończył studia. Ja - ponieważ zacząłem naukę tam, to już tu skończyłem, chociaż było trudno. Ale jakoś udało się. Inaczej było w tym czasie, kiedy nas wywieziono, a inaczej, kiedy wywożono w czasie wojny.

Właściwie czują się tu "u siebie". Ale jak pojedą do Rakliszek, to tam też serce kłuje. Tam właściwie już nic nie ma - tylko kamień w miejscu, gdzie stał dom. I rzeka. Nawet pole porosło lasem. Byłem niedawno u kolegi na Białorusi i z nim jeździłem do Rakliszek.

W ubiegłym roku byłem też w Irkucku. Chodziłem tam tak, jakbym stamtąd nie wyjeżdżał. Tam prawie nic się nie zmieniło. Nie mam specjalnej sympatii do tego miejsca, ale tam zostawiłem też parę lat. Właściwie nie wiem, gdzie jest moje miejsce. Chyba wszędzie i nigdzie.